№ 2.

WARSZAWA.

11 Stycznia

1863.

REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr. 1257.



„*Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obo wiązki wasze.*“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Dla czego Zbawiciel zalecał uczniom swoim, aby się wzajemnie miłowali?

—

Po tém poznają was żeście uczniami memi, jeżeli miłość mieć będziecie jedni przeciwko drugim.

Rozd. XIII u Sgo Jana w. 35.

Trzeba wam naprzód powiedzieć mili bracia, jaki to był ten świat pogański, wpośród którego stanął Syn Boży niosąc na ziemię światło i zbawienie, ażeby lepiej zrozumieć można, czemu to Zbawiciel tak często uczniom swoim zalecał i przypominał obowiązek miłości braterskiej, i czemu kładł ją wyżej nad wszystkie inne cnoty, a odpowiadając pytającemu Faryzeuszowi, jakie jest największe przykazanie Boże, rzekł:

— Będziesz miłował Pana Boga twego z całego serca twego, a bliźniego twego jako siebie samego.

Ów tedy świat pogański, którego stolicą był Rzym potężny, (dziś stolica katolickiego świata) zdawał się być na granitowej zbudowany opoce, któréj żadna siła ludzka skruszyć nie zdoła. Wszystkie podbite ludy drżały na jego skinienie, wszyscy królowie schylali przed nim czoła. Miał on sławnych wodzów, którzy po całej ziemi wielkie odnosili zwycięztwa, miał uczonych i wymownych ludzi, którzy rozgłaszali sławę jego, miał liczne wojska, wielkie skarby, przepyszne gmachy, wspaniałe świątynie, a jednakże w tem wielkiem i potężnem państwie Rzymskiem nie było ani spokoju wewnętrznego, ani szczęścia, ani bezpieczeństwa, ani błogosławieństwa, gdyż obcą mu była sprawiedliwość i miłość.

Całe to pogańskie społeczeństwo, rządziło się prawem gwałtu; wszędzie podstęp, zawiść, samolubstwo wiodło ludzi do hańby i zbrodni. Kto miał siłę, ten miał i prawo za sobą; silnemu człowiekowi uchodziło wszystko bezkarnie, a biedny często bywał prześladowany niewinnie. Szczęśliwi i weseli uciekali od smutnych i nieszczęśliwych jak od zapowietrzonych, a dla pozyskania fortuny i wysokich dostojeństw, nieraz brat zabijał brata, syn oj-

ca, rodzice na zgubę wydawali własne dzieci, bo nawet związki rodzinne nie były uszanowane, kiedy chciwość i pycha, te dwa śmiertelne grzechy opanowały serca występnych. A niewola u tych pogan tak była straszna, i wojny, które z tego powodu wybuchły między panami a ich niewolnikami, tak były okrutne, że niktby dziś temu nieuwierzył, gdyby stare z owych czasów pisane księgi, tego niepoświadczały. Był także u nich okrutny zwyczaj, że jeńców wojennych albo w pień wycinano, albo wziętych do niewoli sprzedawano jak zwierzęta na targowiskach i używano ich jak bydło do najcięższej pracy, albo też wybierano z pomiędzy nich ludzi najsilniejszych i najzręczniejszych i przeznaczano ich na to, aby dla zabawy ludu na publicznych igrzyskach, walczyli z sobą dopóty, dopóki jedni drugich nie pomordują. Takich szermierzy nazywano w pogańskim Rzymie Gladjatorami, a rzemiosło, do którego ich zwycięzcy przymuszali, było ohydne i poniżające naturę ludzką, boć stworzył nas Pan Bóg na to, abyśmy jedni drugim pociechą i pomocą byli, a nie plagą i hańbą.

Ziemia jęczała pod brzemieniem zbrodni i nędzy ludzkiej, gdy Ojciec niebieski w miłosierdziu swojem zesłał jej zbawienie w Jezusie Chrystusie. Przeciwko tej mocy pogańskiej, postawił Bóg Prawdę wiekuistą, Słowo, które stało się ciałem, aby nauczyć ludzi drogi żywota. Kogoż to Zbawiciel prowadzi na pogromienie zbrojnych zastępów? Oto dwunastu ubogich rybaków, uzbrojonych w miłość, wiarę i słowo prawdy dla wszystkich zrozumiałej. Otacza się ludem i dziatwą, idzie z miasta do miasta nauczając. Gdzie się zatrzyma, kędy przejdzie gromadzi się lud około Niego i słucha cudownych przypowieści: o *ziarnie gorczycznem*, o *zwoływanych na gody królewskie*, o *Samarytaninie i biednym wędrowcu*. A stanąwszy na wzgórzu błogosławi Pan lud swój mówiąc: „Błogosławieni którzy łakną sprawiedliwości, błogosławieni którzy się smucą, błogosławieni którzy cierpią prześladowanie dla *sprawiedliwości!*“ przygotowując uczniów do przyszłej walki z pogany. A czyniąc wszystkim dobrze, poświęca się za wszystkich, przepowiada śmierć sobie za grzechy świata, apostołom zaś i uczniom swoim zwiastuje srogie prześladowanie i męczeństwo, przepowiada to zaś dla tego, aby się nie ulękli gdy nadejdą bo „*Królestwo Boże cierpi gwałt i tylko gwałtem się do niego dostać można.*“ Zaleca zgodę i jedność, aby sobie wzajem winy odpuszczali, aby nieporozumienia swoje odnosili pod rozsądzenie własnych starszych, a nie wodzili się przed trybunały pogańskie; aby mieli wiarę w uczynione im obietnice na początku i pamiętali: że *ten tylko zbawion będzie kto wytrwa do końca.*“

Ale nadewszystko zalecał Zbawiciel uczniom swoim miłość wzajemną, bo ona jest siłą niczem niepokonaną, a pokonywającą wiele złego, wiele cierpień, na które, oprócz miłości braterskiej, niema innego lekarstwa. Bo i jakżeby ta garstka bezbronnych chrześcijan ujść mogła ostatecznej zagłady w czasie srogich, przez lat trzysta trwających prześladowań, gdyby jej wiary w obietnice Pańskie i miłości braterskiej zabrakło!?

Jeszcze przed Narodzeniem Zbawiciela, nauczali mędrcy pogańscy: „*Nie czyń drugiemu co tobie nie miło,*“ uważali bowiem poganie już to za wielką cnotę, gdy człowiek jeden drugiemu krzywdy nie czynił, a według nas, jest to cnota kamienia przy drodze gdzieś w rowie leżącego, który przechodniom nie zawadza i nikomu nic złego nie robi. Znali też poganie i to przykazanie: „*Kochaj bliźniego jako siebie samego,*“ ale je sobie wykładali jak sami chcieli, a zawsze tak, żeby się z tej miłości bliźniemu nic nie dostało, a im za jej rozgłos wielka sława i pochwała. Ale Zbawiciel który nakazał uczniom swoim „chwalić Boga w duchu i wprawdzie,“ a nie w obłudzie i w próżności, wyższą i świętszą objawił nam cnotę, niż była cnota pogańska, mówiąc: „Miłujcie się, jakom ja was umiłował,“ to jest miłujcie braci więcej niż siebie, dajcie życie jedni za drugich, jakom ja dał życie za was wszystkich umierając na krzyżu, między dwoma łotrami.

O ileżby to lżej ludziom było na świecie, gdyby sobie tę naukę Zbawiciela lepiej brali do głowy i do serca! gdyby trochę mniej o sobie, a trochę więcej o cudzej biedzie myśleli, jakby jej to zaradzić, jakby pomódz w potrzebie i w utrapieniu. Ale nie jeden tak sobie mówi, a mówi głupio i nie po chrześcijańsku: ja tam nie poradzę na tyle złego, niech się tam dzieje co chce, a niech każdy o sobie myśli żeby mu lepiej było. Jakby tak wszyscy mó-

wili, to musiałby Pan Bóg chyba nowym potopem to całe grzeszne plemię z ziemi wygładzić, a jeżeli Pan Bóg tego nie czyni, to dla tego, że są jeszcze widać wpośród nas zacne dusze, co zawsze więcej radzą i płaczą nad cudzą biedą i niewolą niż nad swoją własną, a gdzie trzeba, to nie żałują zdrowia i życia dla braci, pamiętając zawsze na te słowa Pańskie: „*Miłujcie się jakom ja was umiłował.*“ Ale to takich jeszcze nie wielu być musi, bo gbydy ich było więcej, toby się ziemia nasza stała podobna do raju, a Królestwo Boże zawitałoby wkrótce na ten padoł płaczr.

TRYUMF KRÓLA SOBIESKIEGO
POD WIEDNIEM.

II.

(Dalszy ciąg)

Już upływało lat siedęm od pokoju w Żurawnie zawartego w r. 1676 z Turkami, kiedy zbierająca się od lat kilku burza na Wschodzie miała teraz ryknąć grzmotem i piorunami i zalać potopem niewiernych, kraje zachodniéj Europy. Tą ową straszliwą burzą był gotujący się od lat kilku najazd Turków, najazd machometanizmu i barbarzyństwa na chrześcijaństwo i cywilizacyą Europy. Wszystkie prowincye tureckie dostarczyły żołnierzy na ową wyprawę: od brzegów Eufratu w Azyi i od źródeł Nilu w Afryce, z dwóch różnych części świata spieszyły całe pokolenia Arabów, Kurdów, Mameluków, pod chorągwie Mahometa IV ówczesnego Sułtana. Od lat kilku przewoziły wielbłądy zapasy wojenne z Azyi i Afryki, nad brzegi Dunaju, którym spławiano je do fortec położonych w południowych Węgrzech, gdzie Turcy na dobre już gospodarowali, z powodów, o których poniżéj powiemy. Kara Mustafa Wielki Wezyr sułtana Mahometa IV, choć w podeszłym już wieku będący ale charakteru ognistego a przytem jak każdy satrapa pełen nieograniczonéj dumy, marzył o dawnych wyprawach kalifów to jest wodzów arabskich, i ich niegdyś zamiary, on teraz chciał urzeczywistnić i podbić Europę całą pod władzę Koranu (*) A że był przesądny jak wszyscy Turcy, wierzył zatem w przepowiednie wieszczbiarzy, którzy mu wróżyli zdobycie niezawodne Wiednia a następnie samego Rzymu. Doświadczywszy tylokrotnie dzielności oręża polskiego i mężnego Sobieskiego, nie myśleli już teraz Turcy zaczepiać o kraje polskie, ale postanowili w prost rzucić się na zachod Europy, pewni będąc że tą drogą prędzéj zdołają zniszczyć chrześcijaństwo. I w istocie, dziwnie się wszystko składało, aby im ułatwić wstęp do środka Europy.

Trzeba wiedzieć, że królestwo Węgierskie co to dziś liczy się do Cesarstwa Austryackiego, było przed 400 laty, zupełnie udzielnem sobie państwem. Panowali w niem mężni i szlachetni królowie, jak np: Sty Stefan co wprowadził do Węgier wiarę chrześcijańską a w nagrodę pobożnych swych starań, otrzymał od Papieża koronę królewską. — Ta korona Śgo Stefana w wielkiem poszanowaniu jest u Węgrów, tak dalece, że tylko tą koroną król ukoronowany, uważany jest przez nich za prawdziwego ich władcę. Piękna to zaiste i godna naśladowania ta ich cześć religijna do dawnych pamiątek narodowych.— Panował u Węgrow i nasz Król Władysław Jagielończyk co bijąc się z Turkami zginął pod Warną i dla tego Warneńczykiem przezwany. Panował i ich rodak Maciej Korwin, za którego kwitły nauki i przemysł w Węgrzech, a który nawet zdobył Wiedeń stolicę arcyksięztwa Austryjackiego i tam swoją rezydencyą obrał,—ale potem, Cesarze Niemieccy, co to koniecznie chcieli nad całym światem panować, tak umieli zręcznie kojarzyć małżeństwa między Królami Węgierskiemi a swojem potomstwem, tak potrafili z każdéj sposobności korzystać, że Węgrzy ani się spostrzegli, jak ujrzeli na tronie Śgo Stefana, królów z familii Austryjackiéj, a po woli, powoli, kraj ich piękny i rozległy przyłączony został do Austryi.

Niedola Węgier doszła do ostateczności, do któréj naród przyprowadzony, rzucił się rozpaczliwie szukać pomocy u dawnych swych wrogów, których teraz jeszcze uważał

(*) *Koran*, księga obejmująca zasady religijne Turków, napisana przez Mahometa proroka, który w lat 622, po Chrystusie, ogłosił nową naukę zwaną religiją mahometańską.

za lepszych przyjaciol, a niżeli tych, co mu przyrzekali zachować dawne prawa i swobody. Na czele stronnictwa panów węgierskich nieprzyjaznych Austryi, stał niejaki hrabia Tekeli, który, za namową posła francuzkiego, przyzwał w pomoc Turków, obiecując ułatwić im opanowanie Austryi, aby tylko ci nawzajem dopomogli do wybicia się z pod władzy Cesarza Niemieckiego. Nieoględny Tekeli nie spostrzegł, że stał się narzędziem Francyi, któréj bynajmniéj nie szło o to, aby Węgrzy byli wyswobodzeni, lecz o to, aby dwór Wiedeński czyli Cesarz Niemiecki został poniżony. Takim to sposobem, szczęście milionów ludu staje się igraszką wyrachowanych ambicyi dumy i widoków wcale nie chrześcijańskich. Tymczasem, na rękę była Turkom owa życzliwość Węgrów, bo przez nią, mogli sobie nagromadzić do twierdz węgierskich, jak to wyżéj wspomnieliśmy, zasoby wojenne, potrzebne do prowadzenia tak rozległéj wojny, a powtóre, mieli przez kraj węgierski utorowaną drogę do Wiednia a ztamtąd do środka Europy. Gdyby im się było udało zdobyć Wiedeń i zalać potokiem hord kraje niemieckie, aniby pomyśleli o pozostawieniu Węgrom ich królestwa, a przynajmniéj nałożyliby na nich tak ohydne jarzmo, że zapewne zniknęłaby była cała ich swoboda, a kto wie, może i ich święta wiara którą zaszczepił ich ukochany król Stefan. Z tego tylko można brać miarę o wielkości ucisku Węgrów, gdy już do takich uciekli się obrońców.

Znał dobrze Cesarz Leopold straszną potęgę Turków, znał i nieprzychylność Węgrów,— przewidywał, że nie uniknie wojny, ale nie przypuszczał, aby rzeczy mogły przyjść do tak niebezpiecznego kresu, na jakim w krótce ujrzał swoje państwo.

Zaledwie stopniały śniegi, a wiosenne słońce rozgrzawszy ziemię, okryło ją wdzięczną zielonością i osuszyło drogi, gdy Mahomet IV i wielki wezyr Kara Mustafa, rozpoczęli roku 1683 pochód swój ku Węgrom, prowadząc za sobą, w miejsce już tylokrotnie wyniszczonych, nowe tłumy niewiernych, chciwych zarówno jak tamci, krwi i łupów, pragnących zniszczyć krzyż chrześcijański. Nie myślał jednak leniwy sułtan Mahomet IV, narażać się sam na trudy wojenne, odprowadziwszy swe wojska pod miasto węgierskie Budę i oddawszy uroczyście Kara Mustafie, czaple pióro, szatę ze złotogłowiu i chorągiew Mahometa ich proroka, jako znamiona najwyższej władzy, wrócił się do swego kraju bawić się łowami. Pewny był bowiem, że jego krociowe tłumy zetrą w proch Niemców i wszystkie chrześcijańskie narody.

Na odgłos o pochodzie Turków, cesarz Leopold wysłał znakomitego wodza, Karola księcia Lotaryngii, z poleceniem, aby wstrzymał te ogromne zastępy wojska. Spodziewano się, że Turcy będą chcieli wprzód pozdobywać niektóre twierdze na drodze ku Wiedniowi będące, a przez to znajdzie się sposobność cząstkowego ich pogromu. Ale nadzieje te zostały zawiedzione. Turcy szli prosto i nie myśleli marnować czasu i sił na zdobywanie twierdz. Napróżno książe Lotaryngii usiłował wzbronić im przeprawy przez Dunaj, następnie przez rzekę Raabę, nawała Turków pędziła jak wicher na pustyni, a mężny ten wojownik i w wielu innych razach szczęśliwy zwycięzca, teraz zaledwie zręcznym obrotem zdołał ocalić swe wojska. A Wiedeń? Wiedeń drżał w swych posadach, zwłaszcza dowiedziawszy się o tym krwawym odwrocie księcia Lotaryngskiego. Smutno było pomyśleć spojrzawazy na to piękne miasto, że może za miesiąc, pozostaną z niego tylko ruiny i zgliszcza.

A dawne to było miasto. Historya wspomina, że dawno, bardzo dawno, bo jeszcze kiedy żył tu na ziemi nasz Zbawiciel Jezus Chrystus, Tyberyusz namiestnik cesarza Rzymskiego Augusta zajął to miasto, które nazwał Vindobona. Rozumie się, że nie było ono wtedy ani tak wielkie, ani tak piękne jak później, kiedy zostało stolicą Austryi. W czasie zaś, o którym teraz mowa, Wiedeń tak nazwany później od rzeczki małej Wien, przedstawiał miasto jedno z większych w Europie. Piękne jego położenie, bo choć nie na wzgórzu zbudowany, ale rozsiadł się w malowniczej dolinie, środkiem której szumi bystry Dunaj, rzeka jedna z największych w Europie. Właściwe miasto Wiedeń, leżało na prawym brzegu Dunaju, doktórego w tém miejscu wpadają rzeczka Wien, a po polsku Wiedeńka i dwa dość obszerne strumienie. A że przytém i Dunaj dzieli się na trzy odnogi, wszystkie te wody tworzą wyspy mniejsze lub większe, połą-

czone mostami, a stanowiące przedmieścia Wiednia. Już to we Wiedniu nie brakuje przedmieść i wówczas liczono już blisko trzydzieści, a większa ich część była zamożniejsza od samego miasta, bo magnaci mieli tam swe pałace i ogrody. Jedno z takich przedmieść zwana Leopoldstadt, zajmuje wyspę na Dunaju ciągnącą się wzdłuż Wiednia na milę. Na tém przedmieściu jest Prater, to jest ogród w guście angielskim, ulubiona przechadzka Wiedeńczyków. Przedmieścia te otoczone były winnicami, a za niemi płaszczyzna pagórkowata wznosi się na południe ku Węgrom, aż do gór piętrzących się od strony Styryi, a na zachód do gór Kalembergu, okrytych wieńcem lasów i ruinami starożytnych zamków, których stopy pyszny Dunaj opływa. Zbliżając się ku Wiedniowi, zdaleka widać było wyniosłą wieżę, bo na 428 stóp wysoką; wieża ta należy do katedry Sgo Stefana. Również dojrzeć można było wspaniały zamek cesarski Burg zwany, oraz wiele innych gmachów, w obrębie samego miasta zwanego zwykle starem, znajdujących się. Nie pierwszy to raz Wiedeń miał ujrzeć pod murami swemi nieprzyjaciela. Już Soliman sułtan w r. 1529 obległ Wiedeń, ale Karol V cesarz Niemiecki ocalił swoją stolicę. Teraz inne było zupełnie położenie rzeczy. Pozostałe z owych czasów mury i fortyfikacye, przez czas długiego pokoju zaniedbane zostały.

Nietylko zatem przedmieścia, ale nawet samo miasto lichą obronę przedstawiało. Na domiar złego, cesarz Leopold dowiedziawszy się, że Kara Mustafa zdąża wprost do stolicy cesarstwa, nie wiele myśląc, pewnego wieczora dnia 7 Lipca zabrawszy żonę i familią, wyniół się cichaczem z Wiednia, szukając bezpieczniejszego dla siebie schronienia. Kiedy przy blasku straszliwej łuny zwiastującej pożary niedalekich od Wiednia wiosek, przeprawiał się już na lewy brzeg Dunaju władca potężnego państwa, wtedy dopiero nieszczęśliwi Wiedeńczycy dowiedziawszy się, że są opuszczeni od własnego monarchy, załamali z rozpaczą dłonie, bo myśleli, że już nie było dla nich obrońcy na ziemi. A jednak znalazł się obrońca, król obcego narodu, który nie dla widoków dumy lub korzyści, lecz z uczucia pomocy bratniej, pośpieszył chrześcijańskiemu ludowi na obronę. Był nim Jan III Sobieski król Polski.

(Dalszy ciąg nastąpi)

NAD PILICĄ.

POWIEŚĆ

(*Dalszy ciąg*)

Dusze, do których nienawiść się wkradnie, prędko w złem postępują, oswajają się z występkiem, i w krótce przychodzi czas, że przed najczarniejszą zbrodnią się nie wzdrygną.

Ten czas przyszedł na starszych synów Kacpra.

Dziewięć lat kończył Staś, kiedy Kacper odebrał z Warszawy wezwanie, żeby stawił się po odbiór sumki, którą wuj Anusi stolarz, na nią, a w razie jej śmierci na jej dziecko zapisał.

Dla swojej jedynéj pociechy byłby Kacper na koniec świata nie tylko do Warszawy pojechał. Choć tedy najpilniejsza robota była w polu, choć gadano straszne rzeczy o cholerze co panowała w Warszawie, nie namyślał się i chwili. Ciężko mu było rozstawać się ze Stasiem, ale nie bojąc się zarazy dla siebie, bał się jej dla niego i wziąść go niechciał. Strasznie mu się serce ściskało, kiedy się żegnał z ukochanem dziecięciem, z jedyną pociechą starości swojej, a dziecko też zawisło ojcu u szyi, z płaczem główkę tuliło mu do piersi i ręce, okrywało pocałunkami, i oblewało łzami, oderwał się przecie z bólem i pojechał.

Mijał tydzień jeden, drugi, Kacper ani pisze, ani wraca. Starsi synowie bo i Antoni się wnet zjawił,— zaglądają niby do gospodarstwa, a powoli rozsiadają się w domu, i rozpościerają na gruncie, rozrządzają w dobytku jak na swojem, coraz śmielej dokuczają biednemu Stasiowi, i... zgroza wspomnieć, coraz pewniejszą cieszą sie nadzieją, że ojciec nie wróci. Już i miesiąc upłynął, synowie zboże zwieźli, część jego już sprzedali, przepili, przehulali, jeździł do Warszawy mularz, znajomy Franciszka, i mówił jakoby słyszał, że Kacper tam od cholery zginął, bo mu mówiła siostra jego, co jest za posługaczkę w szpitalu Dzieciątka Jezus, że Kacpra nieżywego do tego szpitala przywieźli.

O jakże inaczej odbiła się ta wiadomość w sercu niewinnego dziecka i w sercach zepsutych starszych braci. Stasio ze łkaniem zawołał do Boga. Starsi w milczeniu spojrzeli się na siebie i zrozumieli się. Teraz już im tylko było dziecko na przeszkodzie. Trzeba im się było znów porozumieć ze sobą i fuknęli: „Idź spać bębnie.“

Przytulił się chłopczyna na sianie w kącie (bo łóżka bracia zabrali) i drżał ze strachu, płakał pocichutku i w sercu tylko powtarzał: „Boże, mój Boże!“ a starsi mówili półgłosem:

— Co mamy w naszem gnieździe tego podrzutka chować, matka jego gdzieś ze świata przyszła, niechże i on w świat idzie, wygnać go na cztery wiatry!

— A jeżeli stary powróci, albo się kto dowie?

— Z tamtego świata nikt nie powraca.

— Bah! czy on aby napewno na tamtym świecie! cichutko powiedział jeden.

— To mu się powie, że kąpał się dzieciak w Pilicy i utonął, odparł drugi.

— Idźże ty do Warszawy i przekonaj się, jeżeli żyje, to ja tu tak rzeczy ukartuję, żeby bębna już w domu nie zastał. Jeżeli umarł, przywieźże papiery, żeby wszelka pewność była.

Stasio nie wszystko słyszał i nic nierozumiał prócz tego, że ojciec nie żyje, i że go bracia wyganiają. I na myśl mu przyszła Jagusia i Michał i Jędruś i Rózia i dziewięcioletni chłopczyna postanowił sobie puścić się w drogę i o nich dopytać. Słyszał on, że się o siedm mil wyprowadzilili i wzdychał sobie:

— Czemu to ja nie mam takich siedmiomilowych butów, jak w bajkach, albo takiego cudownego dywana, żeby się rozwinął i mnie do Mniszewa zaniósł nad Wisłę.

I tak płakał, rozmyślał i usnął. Nazajutrz obudził go turkot odjeżdzającego wasąga, Franciszek wyjeżdżał do Warszawy. Antoni wychodził do roboty.

— Przyniesiesz mi jeść w pole, fuknął na Stasia i wyszedł.

A Stasio pomyślał sobie:

— Nie przyniosę ci jeść, bo byś mnie tak jak bracia Józefa w polu do studni wrzucił, albo kupcom zaprzedał. Choć nie mam siedmiomilowych butów ani dywana cudownego pójdę do Jagusi.

I poszedł sierota przez braci wygnany. I miał racyę przyrównywając siebie do Józefa, a braci swoich do niegodziwych synów Jakóba. Nie brakło im śmiałości w zbrodni, nie brakło równie jak tamtym i przebiegłości. Antoni nie mogąc się doczekać obiadu, pełen gniewu i najczarniejszych zamiarów powracał do domu. Nie zastawszy dziecka, gdy już i wieczór nadchodził, domyślił się, że Stasio wiedząc o śmierci ojca i lękając się ich, uciekł przed niemi, przychodziło mu nawet na myśl, że będzie szukał dawnej swej mamki. Tymczasem bardzo mu na rękę było to zniknięcie brata, miał nadzieję, że się gdzie zabłąka w drodze, że go jaka zła spotka przygoda, ale w każdym razie miał tę pewność, że do domu dla strachu nie powróci. Chciał się więc zabezpieczyć na wypadek, gdyby ojciec powrócił, albo ludzie pytali. O zmierzchu więc, wziął kapotkę Stasia i buty, które chłopczyna zostawił i porzucił je nad brzegiem Pilicy, a potém gwałtu narobił, i rozpoczął lament wielki, że dziecko utonąć musiało. Rozeszło się to między ludźmi i uwierzyli.

Może i niezewszystkiem i nie wszyscy uwierzyli. Nie bez tego, żeby jeden i drugi nie był wiedział, jakiem to okiem synowie Kacpra patrzeli na młodszego swego brata, nie bez tego, żeby temu i owemu wątpliwość jaka albo i podejrzenie nie przyszło. Ale u nas moi ludzie (powiedzmy sobie prawdę między sobą, bo gorzej jak ją nam obcy mówią) u nas tedy, Bogiem a prawdą, niema jeszcze takiej czujności w dobrem. Nie ma tej gotowości w ujęciu się za prawdę, w dopominaniu się o sprawiedliwość. Jak kogo co osobiście nie dotyka, to na drugich mało baczy i usypia sumienie swoje mówiąc: „Co mi się tam w to wdawać, co mi tam do tego.“ Jest ci do tego, co drugich ludzi dotyczy, boś i ty jest człowiekiem. Krzywda ludzka, twoją krzywdą, szukanie sprawiedliwości, wszędzie i we wszystkiem jest najświętszą sprawą, sprawą, w którą ty wdawać się winieneś, bo kto cierpi niesprawiedliwość gdy może jej zapobiedz, ten dopomaga królowaniu złego na ziemi, choć w pacierzu mówi: „Przyjdź Królestwo Boże!“ Królestwo Boże, to jest królestwo prawdy i sprawiedliwości! Chrystus uczył modlić się o nie, i pracować na nie i zbliża je każdy, co w każdej okoliczności ujmuje się za prawdę i strzeże sprawiedliwości. Oddala je każdy, kto na niesprawie-

dliwość i nieprawdę obojętnie patrzy, kto krzywdę bliźnich mogąc ją usunąć przez lenistwo i niedbalstwo znosi.

Dzieje się to jednak często, bah!... i bardzo często, działo się też tak i w miasteczku. Przyszło nie jednemu do głowy,, czy to aby prawda że Stasio utonął? Ale sobie każdy powiedział: „Co mi się tam w to wdawać! będą mnie wzywać na świadki, wodzić do sądów, narażę się a może i niepotrzebnie, milsza mi spokojność. Tak mówili, a niepamiętali, że cnota sprawiedliwych, jedna grzesznikom miłosierdzie boskie, że Sodomie i Gomorze byłby Bóg przepuścił, gdyby był wniej dziesięciu sprawiedliwych znalazł.

Miał tedy słuszność Stasio, przypominając sobie ową historyę z Pisma Sgo, bo tak jak synowie Jakóba osłaniali swą zbrodnię szatą niewinnego Józefa, tak bracia jego zastawiali się odzieniem jego niby nad brzegiem Pilicy znalezionem.

Ale jest jeden i ten sam Bóg na niebie, sierotami i niewinnemi zawsze się opiekuje, bo jest miłosierny.

Od chwili jak Stasio uciec postanowił, myśl jego ciągle krążyła, w około tych ludzi, których znał i kochał w dzieciństwie. Wyraźnie w pamięci występowały mu obrazy mamki, jej męża i dzieci, a za przypomnieniem tego co widział, powoli przychodziło wspomnienie tego co słyszał. Przed wyprowadzeniem się Michała nad Wisłę, często słyszał tedy o tych stronach, gdzie udać się mieli. W nocy jeszcze jak leżał z zamkniętemi oczami, tak mu wyraźnie w myśli stanął jeden obrazek, to jest chata Michałów w dzień świąteczny. Widział niby swego ojca w długiej kapocie z siwemi włosami, na ławie u komina, na kolanach jego Rózię, której pokazywał rumiane jabłuszko, Michała nie było, a Michałowa chusty dobywała ze skrzynki, rozmawiała z Frankową z drugiej izby, a Frankowa pytała:

— Dalekoż to kumo, gdzie się wyprowadzacie?

— Ajużció pono ze 7 mil aż za Białobrzegi.

I niewiadomo czemu chłopcu z tej rozmowy utkwiło w głowie siedm mil i Białobrzegi, i jak teraz myślał i myślał, tak też w głowie Białobrzegi znalazł i postanowił sobie o drogę do Białobrzeg się pytać i tamtędy się puścić. Nie pytał się przecież nikogo w miasteczku, ani w pobliżu, bo się bał, żeby go nie zawrócili i braciom nieoddali. Puścił się tedy pierwszą drożyną co mu się spodobała, minął wioskę jednę i drugą, i tam dopiero o drogę się spytał. Do Białobrzeg było trzy tęgie mile, szedł tedy dzień cały, posilał się chlebem, co go sobie wziął z domu, orzeźwiał się wodą ze strumienia i odpoczywał w chłodzie na łące. Zmierzchać się zaczynało, jak wszedł do miasteczka, porządniejszego i większego niż to, w którem się urodził.

Były to właśnie Białobrzegi, a dzień był targowy. Z rynku w różne strony rozjeżdżały się wózki, rozchodzili się ludzie. Stasio na wszystkie strony błądził oczyma, wszędzie mu obco i na sercu coraz smutniej było. Aż tu jakoś przyciągnęła tęskny wzrok jego gromadka owiec, zapatrzył się na nie, bo mu się przypomniało, jak Michał brał go czasem za owcami w pole, i jak on podniosłszy na drodze patyczek albo słomkę, niby biczem zaganiał je do gromady. Stał więc i patrzał, a w tem rozległ się za nim dobrze mu znany trzask z bicza i jeszcze lepiej znane poszczekiwanie psa owczarskiego, i wreszcie też koło niego, najlepiej mu znany głos.

— A cóż ty tu robisz chłopcze?

— Michale mój złoty! mój jedyny Michale, weźcie mnie z sobą do Jagusi, bo mi ojciec umarł, i bracia mnie wyganiają.

— A no to pójdźże ze mną.

— A nieoddacie mnie braciom?

— Ktoby cię tam rozbójnikom dawał! To i umarł ci ojciec?

— Umarł w Warszawie na cholerę.

—Patrzcie no, mój Boże! dopiero w tych latach! A jadłeś ty co? weźże chleba z serem, bo my tam dziś nie zajdziemy do domu z temi owcami, trzeba będzie po drodze nocować.

— Burek! Burek na tu! zawołał Stasio na swego dawnego przyjaciela, i kawał sera mu rzucił z radości.

— To się tam Jagna ucieszy dopiero, ale się i spłacze nad starym. Patrzcie moi ludzie i te gałgany wygnali sierotę! Pójdźże, dobrzeby było jeszcze milę ujść przed nocą.

Nocowali w karczmie na drodze, a nazajutrz skoro świt ruszyli dalej w drogę. Stasio prawdziwym batem, co go Michał dla Jędrusia kupił, zaganiał owce na dobre, Burek poszczekiwał raźno, owce jak owce beczały, a lu-

dzie, jako ludzie ze wschodem słońca, głos podnieśli do Boga. Michał zaczął pieśń: „Kiedy ranne wstają zorze!" I wszystkie te głosy wesoło rozlegały się po rannej rosie.

Kiedy już dochodzili do Gozdów tej wsi, gdzie teraz Michał był owczarzem, powiedział on do Stasia:

— Schowaj się chłopcze za węgieł od owczarni, sprawimy Jagusi uciechę, bo ot idzie od studni z dziewuchą.

Stasio ledwie się mógł wstrzymać, żeby nie pobiedz do karmicielki swojej, ale usłuchał i śmignął za węgieł.

Rózia poskoczyła przywitać się z Ojcem, a za nią przyszła i matka z konewką.

— Cóż to? niesprzedaliście owiec, żeś je nazad przygnał?

— A widzicie że nie, chociaż cały dzień z niemi staliśmy. Ale ja ci tu z owcami przygnałem baranka takiego, co się ani spodziewasz.

— Jakiego baranka, tatusiu, mówiła Rózia czepiając się ojca.

— Ha.. baranka takiego, co nie ma wełny na sobie, rogów na głowie, takiego baranka co go trzeba przed wilkami schować. Hej! pokażże się baranku!

— Tedy wyskoczył Stasio, rzucił się Jagnie na szyję.

— Matulu! Matulu! (bo tak ją i dawniej nazywał) nie dajcie mnie od siebie.

— Jezus! Marja! Józefie święty! a to co się znaczy?

— A to się znaczy, odparł Michał, że w prawdzie czasem się tak dzieje, jak w bajce. Było dwóch złych i jeden dobry, i źli wypędzili dobrego, ale się dobrym opiekowała jedna czarownica. a że mąż czarownicy pasł owce, więc się sierota przedzierzgnął w baranka i zamieszał się między owcami, i mąż go przygnał z gromadą do domu. Masz że go czarownico, a dajże mi takiej koszałki, żeby z niej wyszły kije i pałki, a dobrze zmłóciły niegodziwych braci!

Tak sobie pokpiwał niby z żony Michał, a wszystko to z wesołości, bo Stasia kochał okrutnie, i nie mógł się naradować, że go będzie znów mieć u siebie. A wstyd mu było do tego się przyznawać, i wszystko pokrywał żartami.

(Dokończenie nastąpi.)

Różności.

Włościanie wsi Niemiercza.— Pan Stefan Buszczyński, ułożył się w roku zeszłym z włościanami wsi Niemiercza, w Mohylowskim powiecie na Podolu położonéj, za zabopólną umową w liście nadawczym przez obie strony podpisanym, na następujących warunkach: 1 włościanie przechodzą od razu na czynsz, a następnie idą do wykupu za pomocą pożyczki rządowéj, 2) nabywają *wydział zasadniczy*. 3) Należny od włościan kapitał *dodatkowy* to jest czwartą część właściciel im odstąpił, z tym warunkiem, iż procenta od summy dodatkowéj powinni włościanie złożyć w ciągu lat ośmiu na *dobro publiczne np.* szosowe drogi, szkołę wiejską, szpital i t. p. stosownie do uchwały właściciela, po naradzeniu się z komitetem pośredników i zarządem gminnym, tak, aby włość Niemiercza korzyść ztąd odniosła. Opłata na ten cel wyniesie po półtrzecia rubla z chaty. Dodatkowy kapitał darowany włościanom. Niemiercza stanowi około siedmiu tysięcy rubli.

Czytelnia na ulicy Browarnej.— Czując potrzebę założenia czytelni bezpłatnéj w cyrkule XI w Warszawie, zamieszkałym w znacznéj części przez klassę ubogą rzemieślniczą, członek Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności p. Maks. Radziszewski, urządził zeszłego roku z ofiar dobrowolnych, czytelnią na podobieństwo innych już dawniéj otwartych. W początkach marca z. r. zebrał już przeszło 500 tomów i czytelnia przy ochronie VI na ulicy Browarnéj w tym czasie już otwartą została.

Katolickie kaplice na Litwie.— Dano pozwolenie z. r. na założenie katolickich kaplic: 1) w Obrynie na cmentarzu w Nowogrodzkim powiecie na Litwie, panu Konstantemu Kaszycowi; 2) w Horodni w Wileńskim powiecie, Witebskiéj gubernii p. Konstantemu Swołyńskiemu; 3) w Serebnińce na podolu. p. Władysławowi Czackiemu; w Pocienianach w pow. Nowogrodzkim na Litwie pani Albinie Moniuszkownéj.

Przedpłata wynosi: w Warszawie rocznie złp. 12.— półrocznie złp. 6.— ćwierćrocznie złp. 3.—miesięcznie złp. 1
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bezkopert złp. 13 gr. 10.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności zł. 13 gr. 10 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po zł. 13 gr. 10 jak poprzednio, ale tylko po złp. 6 gr. 20 rocznie. Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W drukarni J. Ungra. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowej. — Warszawa dnia 11 Stycznia 1863 r.